

## CZYTELNICY PISZĄ

Po opublikowaniu w ostatnim numerze tekstu pani Aldony Nocnej dotyczącego książki „Cień ojca na tle tężni” otrzymaliśmy dwa listy; jeden związany bezpośrednio z publikacją, drugi zaś przypominający osobę oraz wspomnienia płk. dr. Cypriana Sadowskiego „Skiby”. Zachęcając do lektury obu książek przedstawiamy poniżej treść obu listów.

Droga Redakcjo „Zdroju”

Ze wzruszeniem i wdzięcznością przeczytałam te wszystkie piękne i jakże zaszczytne dla mnie słowa, jakie pani redaktor Aldona nocna napisała w lipcowym „Zdroju” w związku z ukazaniem się mojej ciechocińskiej książki pt. „Cień ojca na tle tężni”.

Przyjmuje je z pokorą, to przecież, to przecież ich autorka sama jest wytrawnym człowiekiem pióra, znakomitą dziennikarką, polonistką i literatką, jej gotowa do druku książka historyczna o Ciechocinku będzie bez wątpienia bestsellerem, rarytasem na rynku wydawnictw o naszym kurorcie. Pozostaje teraz tylko mocno zaciskać kciuki by książka ukazała się jak najszybciej.

W tymże lipcowym „Zdroju” przeczytałam również z wielkim zainteresowaniem - wywiad z panem Zygmuntem Dmochowskim, poetą i pisarzem opolskim i ciechocińskim równocześnie. To autor książki „Płonąca sól”, która tak dawno pragnęłam zdobyć i przeczytać. Słyszała też niejednokrotnie w przeszłości o jego tomie „Portargane Anioły”.

Podczas lektury tego wywiadu dowiedziałam się też o czymś, co mnie głęboko poruszyło. Jak się okazuje z osobą autora łączy mnie wydarzenie wręcz metafizyczne; otóż w tym samym czasie, czyli tuż po roku 2000, oboje pisaliśmy w swych bardzo od siebie odległych miastach książki, którym nadaliśmy wówczas niemal identyczne tytuły. Pan Zygmunt Dmochowski - „Człowiek – szkice do portretu”, a ja - „Jurek - szkice do portretu”. Jakież niewidoczne fluidy, telepatyczne powinowactwa krwi, wynikłe ze wspólnych korzeni młodości zaowocowały tą przedziwną zbieżnością!? Nawiasem mówiąc mój tytuł był rezultatem smutnego trudu z jakim wtedy starałam się utrwalić w formie krótkich szkiców literackich – pamięć mego sp. męża Jurka, którego wówczas utraciłam.

Tak więc lektura lipcowego „Zdroju” przyniosła mi niezliczone doświadczenie psychicznego braterstwa. Z jednej strony z nieznanym mi niestety literatem starszego niż moje pokolenia. Z drugiej zaś - z twórczością znakomitej kontynuatorki dzieła Pani Wiesławy Wolfowej, osoby bardzo zasłużonej dla Ciechocinka - czyli z twórczością Aldony Nocnej.

Ciechocinek działa jak magnes na ludzi, którzy mają szczęście nazywać go swoją małą ojczyzną. W miarę upływu czasu, w miarę upływu lat swego żywota, przekonują się oni o tym niezmiennie, coraz silniej cieszą się, że mogą nazwać się jedną z ich grona.

Małgorzata Iwanowska - Ludwińska

Droga Redakcjo,

Wciąż się słyszy o utyskiwaniu na służbę zdrowia, a przecież sprawy te są stare jak świat i nie zawsze winne są temu krasnoludki. Wiele zależy od postawy etycznej pracowników służby zdrowia, a zwłaszcza lekarzy. Z tym, niestety, nie zawsze bywa najlepiej, także i w moim ukochanym Ciechocinku, który odwiedzam od lat pięćdziesiątych. Niejeden pacjent negatywnie doświadczył na własnej skórze kontaktów ze służbą zdrowia..., ale wcześniej też różnie bywało.

By zobrazować odwieczną, a tkwiącą w naturze ludzkiej istotę problemu, pragnę przytoczyć niepozabawiony humoru fragment wspomnień nieżyjącego już płk. dr. Cypriana Sadowskiego „Skiby”. Powszechnie lubianego, długoletniego lekarza naczelnego uzdrowiska Ciechocinek, szefa sanitariatu Kedywu oraz Zgrupowania „Radosław” w Powstaniu warszawskim, przed wojną lekarza Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie, kierownika Zakładu Przyrodoleczniczego, więźnia stalinizmu. Człowieka pełnego ciepła i życzliwości dla ludzi, mającego odwagę pisać krytycznie także o swoim środowisku.

*„W czasie mojej kilkudziesięcioletniej praktyki spotykałem różnych lekarzy. Pisałem już moich nauczycielach, kolegach ze studiów, lekarzach i medykach Kedywu i „Kampinosu”. Kilka ostatnich stron pozostawiłem*

dla lekarzy, personelu i pacjentów uzdrowiska Ciechocinek.

Doktor I. Pierwszy raz przyjechał do Ciechocinka przed rokiem 1930, by objąć stanowisko naczelnego lekarza. Podobno przyjechał z żoną kolegi. Wkrótce potem kolega zjawił się w biurze doktora I. i bez zbędnych wyjaśnień strzelił do niego. Po czy spokojnie poszedł na posterunek policji zameldować o tym. Kiedy policjanci przybiegli, doktor I był już obandażowany, otrzymał tylko lekki postrzał w kark. Nie przyznał się, kto do niego strzelał i tak sprawa się zakończyła.

Urzędował do wybuchu wojny. W czasie okupacji zmarła mu żona. Po Powstaniu trafił do oflagu. Przyjechał do Ciechocinka właśnie, gdy mnie zamknęli. Skorzystał z okazji, otrzymał nominację na naczelnego lekarza.

Po wypuszczeniu mnie i zrehabilitowaniu robił wszystko bym nie wrócił na swoje stanowisko. Zaczęła się między nami wojna podjazdowa. Dowiedział się, że mój adwokat zaprosił mnie i prokuratora na kolację do restauracji „Zdrojowa”, ale nie wiedział, że zostałem zrehabilitowany. Wysłał specjalnego gońca do prokuratury w Toruniu z meldunkiem; „Oskarżony pije wódkę z prokuratorem, czy też odwrotnie prokurator z oskarżonym”.

Na drugi dzień prokurator zawieszony został w wykonywaniu czynności i śledztwo przeciwko mnie zaczęło się od początku. Na szczęście znalazł się mądry prokurator, który umorzył sprawę. Zgłosiłem się do ministra zdrowia Michejdy. Polecił mi wrócić na stanowisko naczelnego lekarza. Nie chciałem, przyjąłem natomiast stanowisko dyrektora sanatorium ZUS w Ciechocinku.

Doktor I ożenił się, ze swą asystentką, został dyrektorem jednego z sanatoriów i jakoś w zgodzie pracowaliśmy jeszcze przez wiele lat. Mimo jego wad cenilem go za zdolności organizacyjne i upór w pracy.

Doktor J. Cz. Był jednym z pierwszych lekarzy, którzy przyjechali do Ciechocinka po zakończeniu wojny. W tym okresie normalnie praktykując można było niezłe zarobić. Ale doktorowi Cz. to nie wystarczało.

Niemcy opuszczając Ciechocinek zostawili bogato zaopatrzone apteki wojskowe. Rozgrabili je ludzie, ale pan doktor Cz. też skorzystał z okazji. Potem sprzedawał te leki za grube pieniądze swoim pacjentom. Przy jakiejś okazji wyszło na jaw, że pacjenci jego kupują bilety kąpielowe. Postąpiłem dwóch lekarzy wojskowych, by mu przykazali, że na takie kanty się nie zgadzamy się.

Zakład Zdrojowy zawiadomił Ministerstwo Zdrowia i doktor Cz. został wylany z posady. Pozostał w Ciechocinku i jako ginekolog otworzył prywatną praktykę.

I nadal robił kanty, głównie na skrobankach. W 1946 roku przyszła do mnie pacjentka, której umawiał, że ma chore serce i z tego powodu ciężę trzeba usunąć. Byłem innego zdania, pacjentka urodziła piękną dziewczynkę, która wyrosła na baletnicę. Odwiedzały mnie później w Ciechocinku.

Innym razem ksiądz z pobliskiej wsi zwierzył mi się, że była u niego na spowiedzi kobieta, która usunęła ciężę u doktora Cz. Za zabieg zażądał 30 dolarów. Dał mu banknot wartości 50 dolarów. Wydał jej 20 dolarów, jak się okazało fałszywe. Ksiądz prosił, żebym załatwił tę sprawę z doktorem Cz.

Opowiedziałem o ty, prof. Lorentowiczowi, ówczesnemu prezesowi Towarzystwa Lekarskiego. Staruszek rozplakał się i powiedział - Do czego doszliśmy!

Od pacjentek doktora Cz. wiem o jego metodach leczenia bezpłodności. Rozebrana do naga pacjentka chodziła na czworaka, a doktor obserwował, czy ruchy kończyn i brzucha były normalne. Przeważnie nie były i wówczas pan doktor robił zabiegi. O tym jakie to były zabiegi, pacjentki nie chciały powiedzieć.

Brak lekarzy zaraz po wojnie zmuszał nas do angażowania każdego kandydata, który przyjeżdżał, bez względu na wiek i specjalizację. Zgłosił się 82 letni emeryt o podwójnym nazwisku. Początkowo sanatorium, w którym rozpoczął pracę było z niego zadowolone. Dużo rozmawiał, głównie z pacjentkami. Wszyscy dziwili się tylko, że nie opuszcza żadnego tańca podczas wieczorków zapoznawczych. Kobiety nie odmawiały mu, na bezrybiu i rak ryba. Po niedługim czasie dostał natychmiastowe wypowiedzenie. Przy badaniu pogryzł pacjentce piersi.

Doktor B. Przyjechał do Ciechocinka nie wiadomo skąd. Miał już ponad 70 lat. Praktykował jako ginekolog. Podobno był żonaty, ale nie utrzymywał stosunków towarzyskich. Był łasy na pieniądze i okropnie naiwny.

Któregoś dnia zapytałem go, dlaczego pracując w przychodni wydaje prywatnym pacjentom zaświadczenia z pieczętką przychodni. Odpowiedział:

- Ależ ja to robię u siebie w domu, a nie broń Boże w przychodni.
- Ach tak mówię – to znaczy, że pan ukradł pieczętkę i ma ją w domu.
- Dlaczego ukradł? Podstemplowałem sobie w domu tylko pewną liczbę kartek.
- Panie doktorze, to jest takie przestępstwo i świństwo.
- Nie wiedziałem, odpowiedział naiwnie – że to jest przestępstwo – I nawet nie obraził się...

Zachowując poczucie humoru łączę ukłony

Stanisław P.

(nazwisko i adres autora listu do wiadomości redakcji)

Od redakcji:

Nadesłany przez czytelnika fragment pochodzi z opublikowanego przez MON w 1990 r. „pamiętnika Doktora Skiby”